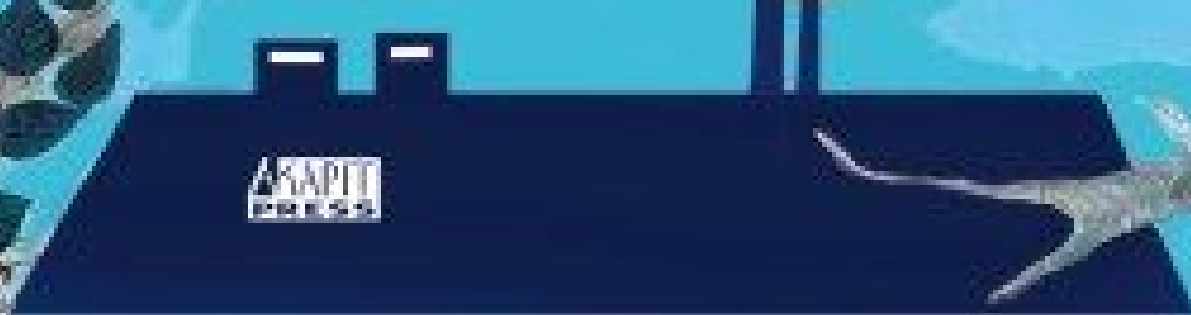
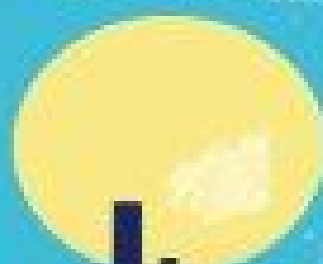




JAJKO KSIĘŻYCA

ZOFIA
BESZCZYŃSKA



ASAP
KRAKÓW

Pustynia

„Wokół nie było ludzi ani zwierząt. Tylko piasek, bezwodna przestrzeń rozległa jak niebo i za nią miasto nad miastami. A we śnie szumiały potężne, wielkie wody, głębokie aż po serce”

Milorad Pavić

Słońce prażyło niemiłosiernie, niebo było rozpalone do białości. Widziałam tylko piasek, wyżłobione w piasku doliny i usypane z niego wzgórza.

Nigdy nie byłam na pustyni.

Zrobiłam krok.

Natychmiast spojrzałam za siebie, ale miejsca, przez które przeszłam, już nie było. Nie zobaczyłam ani drzwi, ani łąki, ani Domu. Nawet mnie to nie zdziwiło. Ruszyłam naprzód.

Szłam długo, ale miałam wrażenie, że stoję w miejscu. Wokół nic się nie zmieniało. Powietrze oblepiało mi skórę jak gorące prześcieradło, piasek parzył tak, że tylko moje tenisówki mogły to znieść. Ale ja nie mogłam. Przecież na pustyni są oazy! Albo przynajmniej studnie: inaczej pustynie nie byłyby pustyniami! – dźwięczało mi w głowie, nie wiadomo skąd. Gdzieś to musiałam słyszeć... czytać... ale gdzie? Świat mętniał mi przed oczami, nagle nie widziałam nic oprócz mgły. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, głowa ciążyła, i w końcu poczułam na policzku chłód piasku. Powieki zamknęły mi się same.

Zapadła noc.

Słyszałam oczywiście o czarach Pustyni i jej zwierzętach.

Tęczowych Wężach i płowych Skoczkach, żywiących się piaskiem.

Szarych Motylach w kształcie kwiatu rozkwitającego pod jedną kroplą wody.

Pustynnych Tygrysach, groźniejszych niż bestie całego świata, widzialnego i nie.

Strasznych Robakach, które drążą kręte korytarze między ziarnkami i wabia tam swoje ofiary:

Wędrujące Rośliny, Bezwłose Myszy, młode Węże...

I o najgorszym: ludziach z głowami zwierząt. Pół-zwierzętach, pół-ludziach. Wykluwających się z jajek...

Rozprostowałam nogi.

I nagle moja stopa dotknęła czegoś twardego. Twardego, gładkiego, chłodnego. Usiadłam.

Zobaczyłam je w ciemności, bo jego skorupka błyszczała. Wyciągnęłam palec i dotknęłam. Bardzo, bardzo delikatnie, a mimo to...

Mimo to jajko pękło. I coś z niego wypęzło.

Przetarłam oczy. W jednej chwili wił się przede mną wąż, w następnej – stał szczupły chłopiec o lśniącej skórze i ciemnych włosach.

– Co robisz na mojej ziemi? – spytał nieprzyjemnie świszczącym głosem. – Co robisz tutaj?

Milczałam sparaliżowana. Prawie czułam, jak kamienieję.

Chłopak nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Mam na imię... – wyszeptałam wreszcie.

– Wiem, jak masz na imię! – syknął. – Po co w ogóle wychodziłaś z tego... balu? – prychnął z pogardą. – Tu nie ma miejsca dla ciebie; to nie jest miejsce dla ciebie!

Nie mogłam już dłużej, łzy same trysnęły mi z oczu.

Nigdy, nigdy nie powinnam była ruszać tego jajka! Co mnie, do jasnej niewiadomej, podkusiło?

Chłopak spojrzał uważnie. Przestraszony? Wyciągnął palec, dotknął mojej twarzy i wolno podniósł go do ust.

– Słone – rzekł ze zdziwieniem.

Łzy łąły się ze mnie jak Niagara. Chłopiec zbladł.

– Co... ci... jest? – wyjąkał w końcu.

Wytarłam nos. Patrzyłam w dół na piasek. Chłopiec patrzył tam także. Nagle się skrzywił.

– Zgubiłaś łuskę – powiedział.

I zniknął.

Rzeczywiście leżało tam coś małego, błyszczącego. Przyłgnęło mi do ręki, ledwo je dotknęłam.

Rzeczywiście łuska.

Nagle nie czułam już zmęczenia, moje ciało było elastyczne i zwinne.

– Taniec z wężem! – zaśmiałam się. I popęzłam przed siebie.

W stronę wody.

Dzień spadł na mnie tak niespodziewanie, jak przedtem noc. Znowu brnęłam przez gorący piasek. Ale teraz było inaczej.

Najpierw poczułam, że nie jest aż tak gorący, później coś niby oddech – oddech na pustyni??? – potem cień... i wreszcie zapach. Słaby, ale wyczuwalny: soli i czegoś zielonego. Zielonego, mokrego, oddychającego. Wodorostów, muszli, ryb...

– Morze! – wrzasnęłam. – Tu kiedyś było morze!

Piasek drgnął, miałam wrażenie, że ziarnka uciekają same przed sobą – i nagle ze stożkowatego wgłębienia pod moimi stopami trysnęła strużka wody. Chłodnej, zielonkawej i – tak! – słonej. Było ich coraz więcej i więcej, aż przykryły piasek. Prawie cały, oprócz ginącego daleko za horyzontem pasa, na którym stałam.

Plaża! – Omal nie podskoczyłam z radości. – Jestem na plaży!

Morze oddychało coraz głośniejszym, jakby ukryte w nim zwierzę wreszcie się obudziło, z tyłu za mną też coś szumiało i falowało.

Skoczyłam w jego stronę. O niczym nie marzyłam bardziej niż o kąpieli!

Fale objęły mnie całą jak ramiona mamy. Znowu omal się nie popłakałam, z radości i tęsknoty.

Zobaczyłam, jak biegnie do mnie biała falbanka... i druga...

A między nimi coś... fioletowego?!

Łyknęłam wody, ale zaraz ją wyplułam. Zanurkowałam.

I dostrzegłam drzwi. Całe białe. W muszli. Dotknęłam ich...

– Hej, co robisz? To moje miejsce! – dobiegło mnie ze środka.

Ja chyba zwariuję. Moje i moje! A co ze mną?

Perła zmierzyła mnie wzrokiem. Była mała, okrągła, bladoróżowa. Błyszczące oczka migają to tam, to tu. Gdzie chciały.

– Eee, no wiesz, nie chciałam cię urazić – przemówiła po chwili. Jej usta były podobne do landrynki. – Ale, no wiesz, ta muszla jest dość ciasna.

Kiwnęłam głową. Rozumiałam doskonale.

– Ale możesz... eee... wejść głębiej. Tylko że...

– Tylko że? – spytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz co... eee... – zaczęła.

– Tak, wiem – przerwałam. – Do widzenia!

I wyprysnęłam na powierzchnię.

Pod nogami znowu miałam piasek. Popatrzyłam dookoła i znowu ujrzałam wydmy. Teraz porastała je turzyca, niskie krzewy i trochę dalej drzewa. Sosny. To one szumiały, to ich gałęziami kołysał wiatr. Pobiegałam tam.

Im byłam bliżej, tym bardziej sosny rosły i za nimi coraz wyraźniej było widać inne drzewa, giętkie kolumny sięgające nieba. W głębi mignęło coś białego... nie, nie sukienka mamy, lecz sylwetka wielkiego konia.

Zatrzymałam się gwałtownie, serce prawie wyskoczyło mi z piersi. Znałam to zwierzę aż za dobrze. Prześladowało mnie od wczesnego dzieciństwa. Było zmorą moich nocy.

Wędrowałam przez mroczny – nie wieczorny, ale o zmierzchu – las, niby wszystko było dobrze, lecz niespodziewanie ogarniał mnie lęk. Drzewa uciekły na boki, byłam na polanie. A tam już

czekała Ona: wielka biała klacz z pozlepianą w strąki grzywą. Otwierała straszliwy pysk najeżony zębami i...

Budziłam się z wrzaskiem.

Poczułam, że jestem bardzo, bardzo zmęczona. Klacz zniknęła, byłam pewna nawet nie patrząc, ale to nic nie zmieniało.

Usiadłam na trawie i oparłam plecy o pień najbliższego drzewa. Szkoda, że nie sprawdziłam, co to za drzewo. I gdzie stoi. Bo nagle...

... drzewo otwarło się. To znaczy: drzwi w drzewie.

Zima

„Nie ma tu nic poza śniegiem”

Philip Pullman

Brnęłam przed siebie bez tchu, potykając się o wystające z ziemi grudy. Było zimno, coraz zimniej, i ciemno, coraz ciemniej: granatowe niebo obejmowało już chyba cały świat. I gdyby nie Księżyc oświetlający mi drogę jak lampa, nie widziałabym nawet własnej ręki.

Ze zmęczenia prawie padałam na twarz. Tymczasem na drodze wyrastały wciąż nowe zaspasy i bryły, lód ciął jak nóż, powietrze wokół mnie zamarało. Z chłodu drętwiały mi palce, nos, uszy, włosy. Nie wytrzymałam.

– Co jest, zima czy co?! – wrzasnęłam na całe gardło. Z ust wyleciał mi kłębek pary. I natychmiast zamarłam.

Tak, to była zima.

Po lewej stronie, w dole, natrafiłam na kolejną szczelinę, po brzegi wypełnioną czarną wodą. Tylko gdzieś tam przykrywała ją warstwa na pół roztopionego śniegu.

Zapatrzyłam się w nią tak, że straciłam poczucie czasu i przestrzeni. Twardy lód, po którym brnęłam bez czucia, niepostrzeżenie stał się sypkim śniegiem... i nawet nie poczułam, gdy straciłam równowagę. I runęłam w lodowatą otchłań.

Odruchowo przycisnęłam ręce do paska, a wtedy... Ledwie dotknęłam czubkami butów tafli wody, zawisłam w powietrzu. I zaraz poczułam, jak coś popycha mnie w bok, ku lodowej skarpie. Była w niej jaskinia, ale za płytka na schronienie. Ostatkiem sił wykonałam zwrot w powietrzu i sama zaczęłam się przesuwac – powoli, powoli – aż miękko wylądowałam na brzegu.

Przez chwilę stałam nieruchomo, próbując uspokoić łomoczące serce. Miałam wrażenie, że o włos uniknęłam czegoś bardzo złego, ale nie miałam pojęcia, co by to miało być. I wcale nie czułam ulgi. Popatrzyłam dokoła.

Byłam w pejzażu bez ruchu.

Zobaczyłam ogołoczone z liści drzewa i strumień, który wysechł, mimo że ciągle tkwiła w nim woda. A obok ptaka ze złamaną łapką, kawkę, którą opiekowałam się w dzieciństwie. Ptak zniknął pewnego dnia, podobno zabrany przez matkę. Teraz zobaczyłam go znowu: leżał na plecach, wyciągając obie kończyny – i zdrową, i chorą – sztywno w górę. Nawet z daleka widziałam, że jest twardy i zimny.

A im bardziej patrzyłam, tym dostrzegałam więcej.

Zniszczone, porzucone zabawki. Miś z rozdartym brzuchem, bezwłosa lalka wytrzeszczonymi oczami gapiąca się w niebo. Zdekompletowane klocki... ale i zeszyty, książki bez okładek i z podartymi stronami; gdyby mogły, trzepotałyby nimi na wietrze. Gdyby był wiatr.

Nagle w powietrzu tuż nad moją głową ujrzałam łódź.

A na ziemi w jej cieniu – wielkiego szarego ptaka z ogromnym dziobem, tak chudego, że wyglądał jak własny szkielet. W pokrytym łuskami szponie trzymał wiosło.

– Hej, ty! – zaskrzeczał.

Wzdrygnęłam się. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, ale nogi tkwiły nieruchomo wrosnięte w ziemię.

– Hej! – usłyszałam znowu. – Wsiadasz w końcu czy zostajesz? Osobiście bym nie radził...

Pokonując opór zmrożonego powietrza skinęłam głową.

Ku mojemu zdumieniu ptak-szkielet zrobił to samo. I niedbale machnął skrzydłem.

Weszłam do łodzi. Próbowałam stać wyprostowana jak on, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Drżały tak, że całą drogę musiałam spędzić zwinięta w kłębek na pokrytym szadzią dnie, kurczowo ściskając burzę.

Całą drogę? Nie pamiętam z niej nic. Nie zauważyłam nawet, że płyniemy. Zawieszona w gęstej mgle nie czułam najłżejszego drgnienia, nie słyszałam żadnego dźwięku, nie widziałam nic. Jak

długo to trwało? Czy w ogóle trwało? Aż z tej pustki w głowie zaczęły powstawać mi obrazy. Szeroka leniwa rzeka, miejscami jasna, miejscami bardzo ciemna, a nad nią jaśniejsze szare niebo. Na horyzoncie wolno płynąca łódź z wyprostowaną postacią, ale nie nasza. A może nasza? Nie byłam pewna. Gdy wyteżyłam oczy, zobaczyłam brzeg, do którego zmierzamy. Rosło tam rzadkie sitowie, woda marszczyła się drobnymi łuskami. Nad głową zawirowało mi płowe piórko... ale nie było to piórko mojego przewoźnika. On był szkieletem i trzymał w ręku nie wiosło, lecz kosę. Trzymał w ręku kosę.

Podskoczyłam. Ptak wybuchnął okropnym chrapliwym ni to kaszlem, ni śmiechem.

– Khe! Khe! Nareszcie! Nareszcie to pojęłaś!!! No, mała, dosyć tej podróży! Wsiadka!

I wtedy – dopiero wtedy – poczułam, że stoimy w miejscu.

Mgła zniknęła i tuż obok burty łodzi zobaczyłam wycięte w powietrzu schody. Alabastrowe. A u ich szczytu bramę. Nigdy nie widziałam nic wspanialszego.

Była z iskrzącego kryształu, pokryta misternymi płaskorzeźbami. Zamykał ją łagodny łuk zwieńczony wizerunkiem głowy przepięknej kobiety o długich włosach. Z całą pewnością królowej – bo miała na głowie koronę.

Stałam zauroczona, patrząc w twarz kobiety tak długo, aż jej oczy zamigotały. Usta drgnęły w uśmiechu – a wtedy brama się otworzyła. Po obu jej stronach stały dwa ogromne niedźwiedzie, nieruchome jak posągi. Posągi niedźwiedzi! A więc nie ma się czego bać.

– Nie ma się czego bać! – dobiegł mnie z dołu skrzeczący głos.

Spojrzałam za siebie, lecz ptaka już nie było. A także łodzi, wody, brzegu...

Nie było nic.

Trudno. Nie pierwszy raz.

Zacisnęłam dygocące z zimna zęby i weszłam na schody.

Zrobiło się jeszcze zimniej i jeszcze okropniej. Wiatr targał mną na wszystkie strony, włosami i sukienką, drąc ją na strzępy. Nie czułam rąk, nóg, twarzy, całego ciała. Ale z uporem brnęłam dalej. Gdy stanęłam przed bramą, byłam tak wyczerpana, że ledwo to zauważyłam. Ledwo też zauważyłam, że niedźwiedzie, gdy je mijalam, drgnęły. Lub raczej tak mi się zdawało: przecież były posągami.

Weszłam w długą aleję wysadzaną drzewami z lodu i szronu i wlokłam się naprzód, ciągle nie wiedząc dokąd.

– Szukasz czegoś, dziecko?

Z korony drzewa spoglądała na mnie twarz utkana ze śniegowych gwiazdek. Przepiękna.

Znajoma...

Zadrżałam.

No właśnie! Czy czegoś szukam? i po co tu właściwie przyszedłam?

– Nie szkodzi, nie szkodzi! – Śniegowa piękność stała przy mnie, już nie tak potężna jak drzewo, z którego wyszła, ale wciąż wysoka, wyższa niż wszystkie kobiety, jakie znałam. O twarzy i głosie słodkim jak mleko z miodem, którym mama poiła mnie na przeziębienie.

– Ale ty pewno zmarzłaś, biedactwo! – wykrzyknęła z troską. – No, chodź do mnie. – Zdjęła futro i opatuliła mnie. Znikłam w nim cała, razem z tenisówkami. Był lodowaty jak wszystko tutaj, ale czułam to tylko przez chwilę: zaraz ogarnęło mnie błogie ciepło. Kobieta patrzyła na mnie z uśmiechem. Wyglądała, jakby wcale nie było jej zimno. – A teraz pojedziemy do domu.

Poruszyła dłonią i w głębi alei zerwała się burza. Tuman śniegu pędził w naszą stronę z szybkością lawiny, a gdy już, już miał na nas runąć – zobaczyłam jaguara. Wielkiego, białego. Czterookiego. Kobieta objęła mnie, podniosła i po chwili pędziłyśmy na grzbiecie zwierzęcia. Przytuliłam się do niej. Nagle strasznie zatęskniłam za mamą. Do oczu napłynęły mi łzy... ale zaraz stwardniały.

Zamarzły.

– Hej, co się dzieje? – szepnęła Biała Pani.

I chuchnęła mi na powieki.

– Do domu... to znaczy gdzie? – szepnęłam ostatkiem sił.

– Do Lodowego Pałacu – usłyszałam przez sen.